

Ewa Stawicka

Sprawa Giacomo Casanovy

Palestra 41/3-4(471-472), 95-105

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE PROCESY

Ewa Stawicka

Sprawa Giacomo Casanovy

Warszawa, 16 czerwca AD 1766

Panie!

Obojętnym mi jest, czy list mój wyda Ci się zuchwalstwem, czy jeno pogwałceniem etykiety, w którejś więcej ode mnie wprawion, z francuskim królewskim dworem obznajomionym będąc. Wiedz wszelako, że postępek Twój wobec osoby mojej uważam za niecny i żadnych z Twej strony przeprosin przyjmować nie mam zamiaru. A wiedzę i to, że mnie jeno honor polskiej szlachcianki przed złożeniem na Pana skargi do Króla Jegomości powstrzymuje. Lżeś jest nie kawaler de Seingalt, a ledwie mieszczańskie masz pochodzenie i zwiesz się zwyczajnie Giacomo Casanova, wiedzą już w Warszawie wszyscy, a Jenerał Branicki od zmysłów prawdziwie odchodził dowiedziawszy się, żeś go, podłego będąc stanu, do dania satysfakcji skłonił.

Gorycz mojej do Ciebie, Panie, nienawiści osładza mi jeno kojąca zażyłość z zacnym Twym przyjacielem. A mając nadzieję nie oglądać Cię więcej ni razu, kreślę się z słowem: „Żegnaj!”

– Cecylia M.

P.S. Ręka Twa, w którąś był w pojedynku zranion, całkiem już, mniemam, wygojona! Obiecane sto dukatów odda Ci posłaniec wraz z listem

C.M.

Wrocław, 27 czerwca AD 1766

Pani!

Za sto dukatów dziękuję, reszty zaś Twego listu zgoła nie rozumiem. Czyżbyś, Pani, nie pamiętała, że to ja sam Ciebie z mym – jak go nazywaś – przyjacielem zapoznał! A zdajesz się wszak ową znajomością ukontentowana. Przepraszać Cię nie miałem i nie mam zamiaru. Niczegom bowiem nie uczynił, co byłoby przeciwne moim – a i Twoim, Pani – przyrodzonym skłonnościom. Będę Ciebie, luba Cecyljo, zawsze wspominać jako jedną z miłszych rzeczy, które mi się w Polsce zdarzyły. Skromność, nie zaś etykieta, każe mi zamilczeć, co w owych wspomnieniach najwięcej urokliwe a rozkoszne. A że nie tylko Wenus, ale i Atena piękności Twej patronuje, nimb mądrości i umiejętnego dowcipu nad czołem Twym rozłaczając,



Giacomo Casanova

przeto dowiedz się, iż ton Twego pisma puszczam w niepamięć. Tym łacniej mi to przychodzi, żem się Twą troską o moje zdrowie głęboko wzruszył.

Dłonią nie całkiem jeszcze dobrze władam. Ale bo też konsylium polskich medyków na ucięcie mi ją było skazało, ja zaś, ufny w Boże Miłosierdzie jako też we własną wiedzę medyczną, samem ją sobie wykurował. Ty nie znasz wszak, Pani, historii całej owego nieszczęsnego pojedynku! W przeciwnym wypadku nie przywiązywałabyś zbytnej wagi do plotek, jakoby hrabia Branicki danie mi satysfakcji za ujmę jedynie sobie pocztywał. Odwiedziłem go bowiem wkrótce przed wyjazdem; przyjął mnie tym lepiej, że rana, którąm mu był zadał przeszywając kulą jelita, prawie już się wygoiła. Dał też do zrozumienia, że z ową tancerką, panną Binetti, przyczyną całego zamieszania, przestało go cokolwiek łączyć.

Iżes jest, Pani, szlacheckiego stanu, przeto mogło do uszu Twych niewieścich nie dotrzeć, co dało powód do zwady pomiędzy mną a hrabią. Chętnie zaspokoję Twą ciekawość, której Ci okazywać nie przystoi. Dowiedz się zatem, że kiedym 10 października ubiegłego roku wjechał w mury waszej stolicy, znałem tylko jedną spośród dwóch bawiących w niej podówczas słynnych tancerek, to jest Annę Binetti. Ach, lzy mi się do oczów cisną gdy pomyślę, żem ją po raz pierwszy spotkał w mej ukochanej Wenecji! Wszakże przyjaciele moi oklaskiwali w Warszawie przybyłą z Piemontu pannę Teresę Casacci. Cóżem miał robić! Przyłączyłem się do jej stronnictwa, któremu zresztą Jego Królewska Mość przewodził, a nie wiedziałem, że zaciekłość jej rywalki, panny Binetti, przeciw mojej tak mocno zwróci się osobie. Za namową tej ostatniej hrabia Branicki, spotkawszy mię w garderobie Casacci, nikczemnikiem nazwał. Oznajmiłem mu zatem, żem gotów skrzyżować z nim broń – i nie tylko, że nie odmówił, ale nalegał jeszcze, by termin pojedynku przyśpieszyć. Sam wybrał pistolety i przybył po mnie karocą. Skutki strzałów oddanych tego popołudnia przez nas obu są Ci, Pani, znane. Branicki, zanim go dla opatrzenia ciężkiej kontuzji do pobliskiej oberży zaniecono, zdołał jeszcze mocnym głosem powstrzymać trzech swoich towarzyszy, którzy gotowi byli rozsiekać mię na kawałki. Tak zatem, krwawiący od rany, sam się na zaśnieżonym gościńcu znalazłem. Kmieciowi jakiemuś zdołałem wyjaśnić, że mi do Warszawy pilno – i zawiózł mię swoimi saniami do pałacu księcia Adama Czartoryskiego; nie zastałem go jednak, wobec czego do

klasztoru braci franciszkanów, siłą furtiana drogę mi zagradzającego odepchnąwszy, zmuszony byłem się wedrzeć, aby w nim głowę schronić. Tam też jęli nazajutrz wszelakiego autoramentu wrogowie Branickiego przybywać, pomoc mi swoją, a i saskiewki ofiarowując. Ułani zaś Branickiego, dom zakonny otoczywszy, niby to dla udzielenia mi opieki przed groźną Temidą, w rzeczy samej czatowali, by sami barbarzyńską swoją sprawiedliwość wymierzyć. Nie ma co, piękna mi oto polska gościnność! Alem już nieraz i w cięższych był terminach. Musiała bo do pięknego uszka mej Cecylii trafić opowieść o słynnej mej ucieczce spod Ołowianych Dachów! Mniemam, że nie masz w europejskich stolicach człeka, coby o niej nie słyszał. Nie dziwi Cię przeto – tak myślę – że i dziś wolnym i na dwór elektora saskiego swobodnie podążam. List następny, który się od Pani spodziewam otrzymać, miłą mi będzie w podróży kompanią.

Bywaj zatem zdrową, Cecylio, a wspomniawszy na lube chwile wspólnie spędzone, rozchmurz liczko, abym Cię w całej Twej piękności mógł sobie przedstawić.

– *Giovanni Giacomo Casanova*

Warszawa, 10 lipca AD 1766

Panie!

Słusznieś Pan wykoncypował, że nową korespondencję ode mnie otrzymasz – ale się nie spodziewaj, byś w niej kiedykolwiek co dla siebie przychylnego znalazł! Nie tylko, żeś hultaj, utraczusz i bezbożnik, ale i tchórz z Ciebie wielki! Ale bo też już tutaj ksiązę Lubomirski w szczegółach opowiada, jakieś to, zajęczą odwagą zdjęty, od dania pola Jenerałowi Branickiemu wykryć się próbował, powołując się na konieczność spisania już to testamentu, już to wykończenia jakowychś papierów dla Króla. Liczyłeś wszak na to, że się Jego Królewska Mość o zamiarze pojedynku dowie i przeprowadzenia owej imprezy swym Majestatem zabronić raczy. Było Ci wszak z pewnością wiadome, że w Polsce samo już wyzwanie bez królewskiej zgody na ubitą ziemię grzywną i półtrokiem górnej wieży ma być karane. Sameś więc dał jasny dowód, żeś walki honorowej z prawym szlachcicem nie godzien. A teraz będziesz się z pewnością całym owym zdarzeniem na obcych dworach tak chęłpić, jak gdybyś w Polsce indygenat otrzymał.

Brzęczącej monety byłbyś ode mnie nie dostał, gdybym uprzednio uwiadomioną była, jakieś to początek pobytu w prześwietniej naszej stolicy wyłudzeniem dwustu dukatów od samego Najjaśniejszego Króla sprofanował. Prawda, że dowcip masz cięty i odpowiedź na wszystko prędką, jakoż i biskup Krasicki to przyznał, razu jednego przy stole wspólnym z Tobą zasiadając, iż przyjemność niemalą z konwersacji czerpał. Nie godzi się jednakowoż zamięłowania naszego Augusta do literatury, antycznej zwłaszcza, bez wahania na korzyść jeno własną obracać. Takeś Pan bowiem uczynił, gdyś przezeń zapytany, która z maksym Horacego satyrę w najbardziej taktownej

podaje formie, odparł: „*Coram rege sua de paupertate tacentes plus quam poscentem ferent*”, co się przekłada jako: „*Ten, co się kryje przed królem ze swoją biedą, więcej dostanie niżli ten, co prosi*”. Nie dziwno mi zatem, żeś – choć poniewczasie – wreszcie w królewską popadł niełaskę.

O żadnej Twojej ucieczce spod Dachów Ołowianych nie słyszałam; snadź nie tak godna to uwagi historia, jak Pan to sobie imaginujesz. To jedno mi dziwno, że lży na wspomnienie Serenissimej wylewając, do Drezna nynie podążasz, miast do swej ukochanej ojczyzny. Co się zaś polskiej gościnnosci tyczy – bądźże sprawiedliwym i przyznaj, żeś tak mocnych jej dowodów a przywilejów doświadczył, jakie nielicznych tylko mogą stać się udziałem.

Przyjaciel Twój każe mi się Tobie kłaniać a także i zapewnić, że w wiadomej Ci sprawie postępy niejakię poczynił

– C.MI

Drezno, 26 lipca AD 1760

Droga Cecyliu!

*List Twój, który mi właśnie przyniesiono, wielce mię ubawił. Przyznaję, żeś się nawet po onym ognistym warszawskim karnawale nie spodziewał, iż Twój literacki temperament prawie mojemu dorównuje! A że miałem już i sposobność przekonać się, iż skąpstwo a zbyteczne w wydatkach wyrachowanie są Ci, Pani, równie jak mnie nienawistne – tym łatwiej myślę, że w głębi duszy nie potępiasz Horacjańskiego „*Carpe diem*”, które jest mi życiową wskazówką w każdych okolicznościach.*

Jużem do moich warszawskich przygód na tyle nabrał dystansu, że wznowić mogłem pracę nad rozpoczętą podówczas broszurą, o dziejach niepokojów w Polsce traktującą. Jak Pani widzisz, niesłusznieś mi więc zarzut postawiła, jakobyem miał fałszywymi pretekstami dzień pojedynku opóźniać.

O sławnej mej eskapadzie z celi, pod ołowianym dachem Pałacu Dożów się mieszczącej, mógłby Ci z pewnością książę Sułkowski opowiedzieć, któremu poznał jako polskiego ambasadora w Paryżu i dzięki której to koneksji szczęśliwie nie tylko Ciebie, Pani, ale i księcia Czartoryskiego wnet po przybyciu do Warszawy poznać było mi dane. Że jednak opowieść z pierwszej ręki zazwyczaj smakowitszą się wydaje – mniemam, iż będziesz kontenta, opis sławnej ucieczki ode mnie samego zaczerpnąć mogąc.

Owóż dziś właśnie mija równych jedenaście lat od dnia, w którym wtrącono mię do cel, nad salami weneckiego Pałacu Dożów się znajdujących, a od ołowianego nami pokrycia dachów zwanych i Piombi. Odwieziono mnie do pałacu gondolą, a przeprowadziwszy Mostem Westchnień, przed obliczem nieznanego mi patrycjusza postawiono. Po leciech paru dopiero dowiedzieć się miałem, że był nim Domenicc Cavalli, sekretarz inkwizycji. Ów musiał mnie jednakowoż znać, gdyż przyjrząwszy

się z bliska mej fizjonomii, potwierdził prowadzącym mnie zbirom, że jestem tym właśnie, którego mają zamknąć w więzieniu. Dla niepoznaki użył przy tym nie weneckiego, a toskańskiego dialektu.

Pomieszczenie, które przyszło mi przez ponad rok ze zgrozą nazywać mieszkaniem, było tak niskie, że przy mym więcej niż słusznym wzroście nie mogłem się w nim całkiem wyprostować. Zastałem tam tylko kubel, którego przeznaczenia objaśniać nie wypada, oraz zwykłą deskę, złożyłem na niej mój elegancki strój. Promień słoneczny docierał do izdebki zza belki, którą okno było przysłonięte. Wystaw sobie zatem, Pani, w jak współczucia godnym znalazłem się położeniu! Nie znałem przyczyny mego uwięzienia ani też, kim są moi oskarżyciele. W trzydziestu zaledwie leciech życia nie wiedziałem, czy mi jeszcze kiedykolwiek pozwolą straszne owo miejsce opuścić.

Byłem w mocy dozorczy więziennego, Lorenzo Basadonny. Dwa tygodnie minęły, zanim udało mi się do mej nowej, jakże żalostnej kondycji przywyknąć. Obecność ogromnych szczurów, skaczących do otworów w zakratowanym okienku, spędzała mi sen z powiek. Wszelka korespondencja, jako i przyjmowanie odwiedzin były surowo wzbronione. Zezwolono mi na sprowadzenie kilku własnych, niezbędnych mi sprzętów, a Lorenzo raz dziennie, bladym świtem, dostarczał mi taką strawę, jaką dnia poprzedniego sobie zażyczyłem. Do jej spożywania wolno mi było jednakże jeno łyżki używać – wszelkie bowiem ostre przedmioty, jako to nóż, widelec, brzytwa etc. – zakazem były objęte. Dozorca żądał przy tem, bym mu na zakup żywności sam dawał pieniądze. Jakże gorzkim był mój los, gdym po dziesięciu dniach skonstatował, iż nijakiej więcej gotówki nie posiadam! Zmuszony byłem kontentować się, niby jaką jałmużną, kilkudziesięcioma soldami dziennie, przyznanymi mi pono przez Trybunał. Basadonna zdawał mi rachunki z tych sum zaledwie raz w miesiącu, a co po odliczeniu kosztów mego utrzymania zbywało, tym wolno mi było swobodnie zadysponować. Poznawszy wszakże prędko chciwość mego cerbera, tak rzecz całą urządziłem, by mu dać możność bezkarnego zagarniania większości z owej reszty. Czy to go do mej osoby przychylniej usposabiało – dotąd ocenić nie potrafię.

Bezmiaru beznadziejności mego położenia dopełniało jeszcze i to, że książ, których przyniesienia sobiem zażyczył, czytać mi zabroniono, każąc w to miejsce zgłębiać nabożne dzieła. A jednak – jak się Pani wkrótce przekonasz – to właśnie wielkie wydanie Biblii ułatwić mi miało ucieczkę z Piombi. Uzbrój się jednak w cierpliwość, albowiem opowieść moją chcę po porządku prowadzić.

Co pobyt mój w tak haniebnym miejscu osładzało, to pamięć, którą mi w nieszczęściu zacny przyjaciel, senator Matteo Bragadin, okazywał, cenne podarki przysyłając. W początku listopada roku 1755 zdrzały nagle mury więzienia i ludziłem się już, że mi siły jakoweś nadprzyrodzone z pomocą przychodzą. Niestety! Wstrząsy te były słabym jeno echem trzęsienia ziemi, które zniszczyło Lizbonę. Cele Ołowiane zaś, jako i całą wenecką lagunę, oszczędziło. Przeszedłszy do przekonania, iż żadne moce krom mej własnej przemyślności pomóc mi nie zechcą, widoków bowiem na rychłe uwolnienie nijakich nie miałem – postanowiłem ucieczką się salwować. Znalazłszy na przyległym

do mej izdebki strychu, po którym czasem spacerować mi dozwolano, kawał marmurą i pręt żelazny, narzędzie sobie przysposobiłem, którym jąłem otwór w podłodze; w miejscu przez łóżko zasłanionym, wywiercać. Pracę tę prowadziłem nocami; przyświecając sobie oliwną lampką, przeze mnie samego sporządzoną. Niemądry Lorenzo – mimo zakazów – dał się tak chytrze podejść, że, niczego nie podejrzewający; wszystkie niemal rzeczy do tego potrzebne z dobrej woli stopniowo mi dostarczył. Umyśliłem, że przebiwszy strop będę mógł opuścić się na związanych prześcieradłach do komnaty przyległej do sali posiedzeń Trybunału. Tam, ukrywszy się pod stołem sędziowskim, doczekam stosownej chwili, by się niepostrzeżenie na wolność wydostać: Wysilki me nocne przerywane były, gdy do mojej celi, za najcięższą w całych Piombi uważaną (lochów, rzecz jasna, nie licząc), innych więźniów wtrącano.

Imaginuj sobie jednak, luba Cecyljo, w jaką wpadłem rozpacz, gdy mi na dwa dni przed zaplanowaną ucieczką, 25 sierpnia 1756 roku, oznajmił mój dozorca, iż właśnie przenoszą mię do innej celi! Nie tylko, że przysła tak bliska już nadzieja samouwolnienia, ale i obawy mię ogarnęły przed następstwami wykrycia owej – prawie już całkiem gotowej – dziury w podłodze! Jakoż istotnie, Lorenzo przyszedł niezadługo do nowo mi przydzielonej izby i pełen wściekłości jął domagać się wydania narzędzia, którym otwór ten uczyniłem. Trzeba Ci zaś, Pani, wiedzieć, żem wyrobiony własnym sumptem szpikulec szczęśliwie w oparciu fotela ukryć zdołał, mebel zaś ów – jako i wszystkie rzeczy mają własność stanowiące – przenieśli pachołcy do mej nowej celi. Rzekłem więc hardzie cerberowi, że gdy przez kogokolwiek spytany zostanę o pochodzenie zabronionego ostrza – wskażę, że to on sam, Lorenzo Basadonna, przyrządy do ucieczki mi potrzebne sprokurował. Bogom – jak powiadają – jest zemsta rozkoszą; prymitywnej duszy mego dozorca zdać się snadź musiało najstodszym dostarczenie mi przez kolejne dni zgnitego jadła, którego, rzecz jasna, nawet nie tykałem. Szyderstwami odpowiadał też Lorenzo na me żądania dostarczenia papieru i ołówka, abym mógł spisać petycję do sekretarza inkwizycji.

Ale i wszeteczeństwo ma wreszcie swój kres, jeśli się na nie sposób znajdzie. Kazawszy Basadonnie nabyć za zaoszczędzone pieniądze kilka uczonych dzieł, napotkałem ze strony tego chciwego huncwota na supozycję, iż na wydatkach takowych można by połowę przyoszczędzić, gdybym się zgodził wymieniać lektury z więźniem z sąsiedniej celi. Tym oto sposobem dowiedziałem się, że sąsiadem mym jest Marino Balbi, mnich który ten na uwieszenie zasłużył, że zdobywszy względy trzech młodych dziewcząt, każdą z nich przesłicznym dziecięciem obdarzył; wiedzion zaś nadzwyczajną poczciwością, kazał pachołęta pod swoim ochrzcić nazwiskiem. Towarzystwem jego w celi był niejaki Andrea Asquino, oskarżony pono o podjudzanie do waśni między chłopstwem a patrycjuszami w mieście Udine. Tych i innych szczegółów dowiedziałem się z korespondencji ukrywanej pod grzbietami użyczanych wzajemnie do przeczytania dzieł.

Umyśliłem braciszka Balbiego w me plany ucieczki wtajemniczyć, a pozyskawszy jego współpracę, razem z nim eskapadę przedsięwziąć. Jedną bowiem dostrzegłem

drogę wyjścia z nowego miejsca uwięzienia: przez dach. Mnich, choć zamiarom moim od początku przychylny, musiał pierwej strach i zwątpienie pokonać, zanim się do przygotowań jął przyczyniać. Plan, który ostatecznie pod moimi poleceniami uskutečnił, przedstawiał się następująco:

Miał Balbi wykleić całą swą celę wizerunkami świętych, zakupionymi dlań specjalnie przez niczego nie podejrzewającego Basadonnę. Obrazy zasłaniać powinny otwór w suficie, wydłubwany dzień po dniu przez pracowitego mnicha. Miał się dalej ów Kupidyn w habicie ponad strop obu naszych cel przedostać, stamtąd zaś zbawczy otwór do mej izdebki prowadzący wywiercić. Konieczny do tego celu żelazny szpikulec, którym szczęśliwie przed konfiskatą ocalił, zwiedziony mym nowym podstępem przeniósł do mniejszej celi sam Lorenzo. Otóż wetknąłem bezcenne narzędzie pomiędzy grzbiet i kartki ogromnej Biblii, a że mimo to końce jego wystawały – użyłem dodatkowego fortela. Rzekłem oto dozorczy, że rad bym uczynić dzień świętego Michała prawdziwym świętem dla mego sąsiada – i że z tej racji pragnąłbym przekazać mu ów egzemplarz Pisma Świętego wraz z olbrzymim półmiskiem makaronu, który chcę osobiście przygotować. Jakoż Lorenzo przyniósł mi wszystko, czego potrzebowałem. Talerz, przekraczający znacznie rozmiarami księgę, tak że położony na niej wystające krańce żelaznego przyrządu zasłaniał, kazałem zanieść do celi Balbiego. Makaron omaściłem zaś tak suto, że musiał nasz cerber, rad nierad, całą uwagę na półmisku koncentrować, aby przypadkiem tłuszczu na niesioną płasko księgę nie wychlapnąć.

Mnich wziął się raźnie do pracy. Aliści – na krótko przed jej ukończeniem znów los zły siurpryzę niemiłą mi zgotował. Mój, samotny dotąd, pobyt w nowej celi zakłóciło bowiem przybycie drugiego lokatora, dość odrażającego człeka nazwiskiem Francesco Soradaci. Wypróbowawszy, że na dyskrecję z jego strony liczyć nie można, o pomocy nie mówiąc – znów chwyciłem się fortela. Przekonałem oto mego współwięźnia, którego prymitywną religijność uprzednio rozpoznałem, iżem miał w nocy widzenie, w którym mi rychłe uwolnienie przez anioła przepowiedziano. Tym oto sposobem, otumaniając go monotonnymi modłami, wmusiłem w Soradaciego przekonanie, że hałasy znad stropu dochodzące niechybnym są zwiastunem nadchodzących mocy niebieskich. Balbi tymczasem doprowadził swą pracę do takiego stanu, że tylko kilka minut wystarczyć miało na przebicie ostatnich desek w dachu mej celi. Umyśliłem eskapadę nocą łączącą 31 października z dniem 1 listopada 1756 roku przedsięwziąć, albowiem spodziewałem się mniejszej w owym czasie czujności Lorenza, który, znając obyczaj inkwizytorów i ich sekretarza spędzania trzech pierwszych dni listopada na stałym łądzie, zwykł wówczas obowiązki swoje nieco zaniedbywać. Nakazałem tedy obmierztemu memu kompanowi, aby nadejścia anioła we własnej postaci wtędy właśnie wyczekiwał, nie zapominając przy tym poić go winem nieomal do utraty przytomności. Jakoż około północy ojciec Balbi spadł jakby z firmamentu do naszej celi. Gdyśmy się obydwoj na stromy, ołowiany dach wydostali, spostrzec dopiero mogliśmy, że z jednej jego strony kanał się znajduje, do którego upadek śmierć niechybną oznaczał, z drugiej zaś dziedziniec, na którym łącno dostrzeżeni zostać mogliśmy.

Posługując się jeno sznurem ze skręconych prześcieradeł, zdołałem się na szczył śliskiego od wilgoci dachu wdrapać, a wybiwszy ręką napotkane na stromiźnie okienko, do izby jakowejś się dostałem, pomagając też mnichowi za mną podążyć. Takem był tymi podniebnymi wyczynami utrudzony, że usnąłem, ułożywszy się wprost na podłodze. Obudził mnie Balbi, nalegając, byśmy podjęli dalszą ucieczkę. Zdoławszy przy użyciu niezawodnego żelaznego szpikulca stojące nam na zawadzie drzwi rozewrzeć, przeszliśmy pałacową kancelarię, aż znaleźliśmy się nareszcie na królewskich schodach. Tam, rozebrawszy się z porwanego i pokrwawionego odzienia, przywdziałem zabrany ze sobą z celi elegancki strój. Stałem swobodnie przy oknie, aby jakiś przechodzień wziąć mnie mógł za omyłkowo pozostawionego w pałacu interesanta i odźwiernego powiadomił. Jakoż niebawem przybiegł zasapany stróż i, stukrotnie nas przeprasząc, paradnym wejściem wypuścił. Oszczędzę Ci, Pani, opisu krótkiej tułaczki po okolicznych lasach. Dość na tem, żeś mogła mnie przed niejakim czasem całego i zdrowego z bardzo bliska oglądać – oto masz najlepszy dowód powodzenia mej ucieczki z Piombi.

W Dreźnie długo nie myślę zabawić – zechciej zatem, Pani, wyekspediować następną pocztę wprost do Wiednia. Benedetto przesyła ukłony i ma nadzieję naszego przyjaciela rychło ujrzeć.

Zawsze pełen dla Cię szacunku

– G.C.

Warszawa, 18 października AD 1766

Panie!

To jedno przyznać muszę, iż twe pisarskie talenta rozgłos niejaki tutaj uzyskały. Niejeden miał też okazją wyimki z Twych, do mnie adresowanych, listów czytać, które tym snadniej okazują, im więcej Twoich niechlubnych warszawskich postępków na jaw wychodzi. Awanturnik bo Pan zaiste jesteś pierwszej wody, jeśliś jeszcze na odjezdnym grzeczną sumkę od Króla Jegomości wydobył, i to na co! Na spłatę długów karcianych! Nie dziwno mi już, żeś przez Augusta naszego jako persona non grata do wyjazdu przymuszonym został, choćby i ze stratą! Ale że Muzy serce królewskie miększym uczynić potrafią, przeto mniemam, że dla tej przyczyny ucha swego Najjaśniejszy Pan ku prośbom Twym zuchwałym nakłonić raczył. To wiedz bowiem, iżemy nie prowincjusze i że wiadomo nam o powodzeniu owego dramatu, którego spod Twego pióra był wyszedł, a według którego teatrum w Dreźnie odprawują.

Nie odgaduję jednokowoż zgoła, dla jakiej to przyczyny powód swego uwięzienia w Celach Ołowianych przed nami skrywasz. Opowiadasz bo, Panie, wszystko z detalami, wyjąwszy ów powód, jako i sam wyrok. Chociaż nie szlachcic i – mniemam – przywilej neminem captivabimus nisi iure victum tyczyć Ciebie nie mógłby, choćby on nawet w Serenissimej, jako i w naszej Najjaśniejszej, obowiązywał, to przecie niepodobna, by Ciebie bezprawnie tak długo w więzieniu przetrzymywano. Wszak piórem Andrzeja Frycza Modrzewskiego, a i Stanisława Orze-

chowskiego, urządzenie państwa weneckiego za wzór nam ongi w Polsce stawiano! Miałżebyś na sumieniu zbrodnię jakowąś straszną! W to powątpiewam, choć imaginacja okrutnie mię nęci. Pojmuję wszelakoż, że Ci owa ucieczka z Piombi powrót do ojczyzny tamuje.

Do Warszawy także masz już, Panie, wjazd – tuszę – po wsze czasy wzbронiony, po tem, jak się Król Jegomość dokładnie o Twych sprawkach w Paryżu i zagarnięciu sum z loterii państwowej francuskiej uzyskanych wywiedział.

Żegnaj zatem

– Cecylia M.

P.S. Dopisek ten naprędce sporządzam, jako że przesyłkę do Wiednia wyekspediowaną właśnie z powrotem oddano twierdząc, żeś przez cesarzową stamtąd wydalonym został. Szczęściem, zjawił się B., o którym w swym liście wspominałeś, i podjął się pismo Tobie aż w Akwizgranie oddać.

C.M.

Spa, 11 stycznia AD 1767

Pani!

Patrzajże: rok już z górą upływa, odkądem miał honor Ciebie poznać. A chociaż ton Twoich listów zda się nieprzyjaznym, to przecie myślę, iż nie tylko przez wzgląd na wspólnego przyjaciela osoby mojej całkiem zapomnieć nie pragniesz.

Doceniam mocno, że dla mej nostalgii za rodzinnym miastem zrozumienie okazujesz. Głotów byłbym wiele zaiste uczynić, aby mnie Serenissima z powrotem jak syna marnotrawnego na swe łono przyjąć zechciała. To sobie jednak, Pani, przedstaw, że Wenecja w obecnych leciech końca – jak myślę – swej wielkiej potęgi dożywa. A choć i patrycjuszom, i innym jej obywatelom wciąż jeszcze na umiłowaniu swobody i chęciach zabawy nie zbywa, daleko jej nynie do tej świetności, którą uczeni mężowie w Twej ojczyźnie dawniej wysławiali. Gorycz ma jest w tej mierze tym większa, żem sam ofiarą upadku owej niegdyś doskonałej państwowości. Jesteś wszak, Pani, przy polskim królewskim dworze z tegoczesnymi obyczajami dobrze obeznana i niełatwo Cię – jakem się miał okazję przekonać – zgorszyć albo i zadziwić. A i w to musisz uwierzyć, że cnota, małżeńska wierność i szczerą pobożność niższą jeszcze mają na weneckiej lagunie niżli nad Wisłą cenę.

Wyjawię Ci zatem, żem się po paru latach mej tułaczki po Europie od pewnej zaufanej osoby dowiedział, iż podstawę do zaarrestowania mnie stanowiły raporty, które na mnie szpieg inkwizycji, niejaki Manuzzi składał, podstępem jako handlarz drogich kamieni do mego domu i do moich łask się wkradłszy. Ówże zdrajca, twierdząc że miałby nabywcę gotowego grzeczną sumę za moje książki o okultyzmie traktujące zapłacić, pierwiej jednak musiałby się ów nieznajomy o ich autentyczności osobiście przekonać – wypożyczył ode mnie owe dzieła, którem ja sam jako zabawkę jeno traktowałem. Miał ukrytemu kupcowi, zaniósł je Manuzzi sekretarzowi inkwizycji. Oskarżenie o konszachty z siłami nieczys-

tymi było już zatem prawie gotowe, a stało się całkiem pewnym, gdy na dodatek doniósł usłużny Manuzzi, że po przegranej w karty nigdy diabła nie przeklinał. Zarzucano mi też ponoć, że weneckie kobiety deprawowałem – tak jakbym kiedy cokolwiek ich zgodnie przeciwnego uczynił... Miano mi także za złe, iż przyjemności życia na koszt innych częstokroć zażywałem. A to przyznasz wszak, Pani, sama, że zdolny bez okradania ani przymuszania kogokolwiek rozkoszy wykwinionych strojów, pełnych stołów jako i wypchanej sakiewki zaznawać.

Prawdę rzekłszy, głębsze jednakże pod moim aresztowaniem kryły się – myślę – przyczyny. Wrogiem moim nieprzejednanym stał się bowiem ksiądz Chiari, kiepski komediopisarz, którego mi szyderstw z jego twórczości darować nie mógł, mając zaś stosunki w Radzie Dziesięciu, mię z kolei o wypisywanie w moich pismach bezcelestw i o drwiny z religii oskarżał. Nie od rzeczy będzie tu, jak miemam, objaśnić Tobie, Pani, jak się w Rzeczypospolitej Weneckiej system władz przedstawia. Nie jest bowiem tak, jak to sobie nieraz cudzoziemcy imaginować potrafią, by doża ster nawy państwowej w swym ręku dzierżył. Przepychem wprowadzie otoczony, nie może on jednak ni kroku bez zgody Wielkiej Rady, około tysiąca przedstawicieli najznamienitszych rodów gromadzącej, uczynić. Ta zaś wybiera i kontroluje Senat, którego się ze stu dwudziestu patrycjuszów składa. W czasach interregnum rządzi miastem Serenissima Signoria. Zależne od Senatu Kolegium mianowaniem i przyjmowaniem ambasadorów się zajmuje, Rada Dziesięciu zaś jest okiem i uchem państwa. Wolno jej oskarżyć, skazać i uwięzić kogo zechce i za co tylko zechce. Zarzutom zaś mogą być objęte nie tylko czyny, ale i myśli, które się wszetecznymi wydadzą Radzie, a zwłaszcza przydanymi jej do pomocy trzem Inkwizytorom. Gondole tych ostatnich, czerwonymi latarniami opatrzone, postrach samym swym widokiem budzą, a dokąd łodzie ich dopłynąć nie mogą, tam macki całego zastępu płatnych szpiegów docierają. Jakby tego jeszcze było mało, wolno każdemu obywatelowi złożyć anonimowe doniesienie, wkładając je do paszczy rzeźbionego lwa, u wrót Pałacu Dożów strażującego.

Powiadają, że poprzez aresztowanie mnie pozbył się jeden z inkwizytorów, Antonio Condulmer, rywała, albowiem niewiasta, do której on sobie prawa rościł, mię raczej wdziękami swymi chętniej obdarowywała. Nie wydaje mi się to jednak wystarczająco wiarygodnym, a to z następującego powodu: Inkwizytorzy zmieniają się co sześć miesięcy, co zapobiegać ma zbyticznemu ich obrośnięciu we wszechwładzę. Po paru miesiącach mego nieszczęsnego uwięzienia, w początku października 1755 roku, nadszedł był moment zastąpienia tej trójki, która mnie nakazała aresztować, inną – a jednak nie przyniosło mi to uwolnienia.

Lud wenecki zwykł nazywać więzienia, którymi zawiaduje Rada Dziesięciu – „piekłem”, salę sądową – „czyśćcem”, wielką zaś salę obrad – „rajem”. W Ołowianych Celach przyszło mi spędzić piętnaście miesięcy. Chociażem w sali sądowej nie był, to jednak moja sprawa w niej postawioną została. Miemam zatem, iż jeśli się przyszłe pokolenia głowić będą dokąd mnie nici żywota ostatecznie zawiodły – na raj jeno przyjdzie im wskazać.

Myślę ze smutkiem, miła Cecyljo, że się już pewnie nigdy nie obaczym. Dowiedz się więc raz jeszcze, żem dla Cię pełen uznania – nie tylko dla Twych wdzięków niewieścich, które jak jaki konterfekt na zawsze w miłe wspomnienia oprawione mieć będę, ale i dla innych walorów, co się równie cennymi okazały.

Zegnaj mi zatem

– *Giacomo Casanova*

NOTA OD AUTORKI:

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie, że postać Cecylii M. jest najzupełniej zmyślona. Za prawdziwe natomiast uważają badacze wszelkie okoliczności, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami, podane tutaj w fikcyjnej korespondencji, a dotyczące zarówno skazania Casanovy, jego pobytu w weneckim więzieniu oraz ucieczki stamtąd, jak i pojedynkowania się w Polsce z Franciszkiem Ksawerym Branickim.

Giovanni Giacomo Casanova do końca swego życia nie poznał ani treści nakazu aresztowania z 24 lipca 1755 roku, ani też wyroku datowanego 12 września 1755 i podpisanego przez trzech inkwizytorów, a skazującego Casanovę na pięć lat więzienia w Ołowianych Celach. Zachowana w nikłych fragmentach dokumentacja wskazuje na to, że prowadzone było jakieś postępowanie dowodowe w tej sprawie, ale oskarżony z całą pewnością nie został w jego trakcie przesłuchany. Co do rzeczywistych powodów aresztowania – część historyków wysuwa tezę, iż Giacomo Casanova naraził się wolnomularzom, którego to bractwa był członkiem, później zaś odzyskał jego łaski i dyskretną pomoc w ucieczce z więzienia. Przynależność do masonerii i wypełnianie zleczanych przez nią zadań miałyby też być powodem gorączkowych podróży po Europie dla nawiązywania w ich trakcie tajemniczych kontaktów. Nie możemy wykluczyć, że błaha na pozór korespondencja z kobietą mogła służyć za przykrywkę takim właśnie celom...

Historia uwięzienia Casanovy znalazła dosyć ponury epilog w latach siedemdziesiątych stulecia, kiedy to, za cenę zezwolenia na powrót do ojczyzny, zgodził się on zostać szpiegiem weneckiej inkwizycji.

Literatura:

- Casanova G.G.: *Pamiętniki*, Czytelnik, Warszawa 1961.
Rives Childs J.: *Casanova. A biography based on new documents*, G. Allen Ltd., London 1961.
Gervaso R.: *Casanova*, PIW, Warszawa 1990.
Kesten H.: *Casanova*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.
Olkiewicz J.: *Najjaśniejsza Rzeczpospolita Wenecka*, KIW, Warszawa 1972.
Zweig S.: *Drei Dichter. Ihres Lebens. Casanova, Stendhal, Tolstoi*, Insel Verlag, Leipzig 1928.